

Wierność więzi

Piotr Chrzanowski

Drukowany w tym numerze „Christianitas” tekst ks. Jarosława Tomaszewskiego *Co Kościół katolicki proponuje rozwiedzionym?* skłania nie tyle do polemiki, co do pewnego uzupełnienia. Nie czuję potrzeby polemiki w tym sensie, że z podstawowymi myślami tam przedstawionymi się zgadzam. Zresztą już jakiś czas temu, krytykując protagonistów zmiany i dyscypliny sakramentalnej, a *de facto* nauczania o nierozzerwalności małżeństwa, pisałem: „Nie piszę tego wszystkiego jako przeciwnik duszpasterstw tzw. małżeństw niesakramentalnych. Owszem, trzeba tam wiele roztropności i hartu ducha, pewnie też po to, żeby wyłapać powierzchowne cwaniactwo i nie promować laksyzmu, ale życie bywa skomplikowane. Bardzo często jest przecież tak, że ludzie, wchodząc w taki jedynie cywilny związek, o Bogu wiele nie myśleli. Raczej Go w ich życiu nie było. Czasem w takich związkach mają dzieci, bywa, że z takich czy innych powodów, kulturowych czy dla uspokojenia dziadków, posyłają je na katechizację. I bywa, że te dzieci stają się ewangelizatorami swoich rodziców. W ludziach budzi się autentyczna wiara. Jednak jakimś sprawdzianem tej autentyczności jest uznanie prawdy o sytuacji, w jakiej się znaleźli” [27.02.2014, Notatki parafianina, liturgia.pl].

Jeżeli czegoś mi zabrakło w wypowiedzi ks. Tomaszewskiego, to odniesienia do sytuacji, które poprzedzają rozwód czy rozstanie małżonków. Może stało się tak dlatego, że w papieskiej katechezie ze środowiskowej audyencji generalnej 5 sierpnia też nie było o tym mowy. Jednak Franciszek na początku wystąpienia zaznaczył wyraźnie, że jest ona kontynuacją jednej z jego wcześniejszych katechez. Wgląd na strony internetowe Stolicy Apostolskiej pokazuje, że chodzi o naukę z 24 czerwca 2015 r. Papież mówił wtedy: „W rodzinie wszystko jest ze sobą powiązane: kiedy jej

dusza jest w jakimś miejscu zraniona, to infekcja zaraża wszystkich. Kiedy zaś mężczyzna i kobieta, którzy zobowiązali się, iż będą «jednym ciałem» i będą tworzyć jedną rodzinę, obsesyjnie myślą o własnych żądaniach wolności i zadowolenia, to takie wypaczenie głęboko dotyka serca i życia dzieci. Musimy to dobrze zrozumieć. Mąż i żona są jednym ciałem. Ale ich dzieci są ciałem z ich ciała. Jeśli pomyślimy o surowości, z jaką Jezus napomina dorosłych, by nie gorszyli maluczkich (por. Mt 18,6), to możemy lepiej zrozumieć Jego słowo o poważnej odpowiedzialności strzeżenia więzi małżeńskiej, dającej początek ludzkiej rodzinie (por. Mt 19,6-9). Kiedy mężczyzna i kobieta stali się jednym ciałem, to wszystkie rany i wszelkie niewierności ojca i matki oddziałują na samą istotę życia dzieci”.

Trzeba powiedzieć, że to bardzo mocne i bardzo poważne ostrzeżenie, szczególnie jeśli uświadomimy sobie, że pierwszy przywołany fragment biblijny mówi, że gorszycielowi lepiej byłoby uwiązać kamień młyński u szyi i utopić go w morzu. Choć z drugiej strony trzeba też podkreślić, że ani Chrystus, ani św. Paweł w swej nauce o nierozzerwalności małżeństwa nie uzależniają jej od posiadania przez małżonków dzieci. Potem jednak następuje fragment, w którym ujawnia się właściwa Franciszkowi dezynwoltura i brak przywiązywania szczególnej wagi do precyzji wypowiedzi: „Z drugiej strony to prawda, że są takie przypadki, kiedy separacja jest nieuchronna. Czasami może się nawet stać moralnie konieczna, kiedy wręcz chodzi o wyrwanie małżonka słabszego czy też maleńkich dzieci z najpoważniejszych ran spowodowanych zastraszaniem i przemocą, poniżaniem i wykorzystywaniem, wyobcowaniem i obojętnością. Bogu dzięki nie brakuje tych, którzy wspierani wiarą i miłością do dzieci, świadczą swoją wierność więzi, w którą uwierzyli, pomimo że jej odrodzenie wydaje się niemożliwe. Jednakże nie wszyscy żyjący w separacji czują to powołanie. Nie wszyscy żyjący w samotności rozpoznają skierowane do nich wezwanie Pana. Spotykamy wokół nas różne rodziny w tak zwanych sytuacjach nieprawidłowych. Stawiamy sobie wiele pytań: jak im pomóc? jak im towarzyszyć?”.

Niepokojący jest w tym fragmencie pewien naturalistyczny ton i pomijanie tego, że sakramentalne małżeństwo jest też rzeczywistością nadprzyrodzoną. Rzekoma nieuchronność separacji jest

nieuchronnością jedynie w oczach ludzkich. Ośmielę się powiedzieć, że nawet wtedy, kiedy jest konieczna, nie powinna być postrzegana jako ostateczna. Czy w takich sytuacjach pamiętamy, że jeśli coś wydaje się niemożliwe u ludzi, czyli np. odrodzenie więzi małżeńskiej, nie jest niemożliwe u Boga? A właśnie przywołanie Boga zdaje się w cytowanym fragmencie bardzo zewnętrzne i jakoś powierzchowne. Chciałoby się, żeby Franciszek wyraźnie podkreślił, że *wierność więzi* (formuła nieco oschła i trąca nadmiernie jurydycznym podejściem) to tak naprawdę wierność Bogu, wobec którego ślubowało się drugiemu człowiekowi *miłość, wierność i uczciwość małżeńską* oraz że się go *nie opuści aż do śmierci*.

I jeszcze jedna ważna rzecz w synodalnych i okołosynodalnych dyskusjach o rodzinie zupełnie pomijana. *Wierność więzi* implikuje i wymaga zachowywania miłości i wierności względem drugiego człowieka. Oczywiście, nie należy tu miłości rozumieć jedynie jako emocji, ale w sensie teologicznym, jako cnotę, „która wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma, [...] nigdy nie ustaje”. Czy dzisiejsze duszpasterstwo ma w ogóle odwagę mówić wiernym, że nawet jeżeli uciekają przed przemocą współmałżonka, nawet jeżeli zostali porzuceni, ta miłość i ta wierność nadal ich zobowiązują? Czy Franciszek nie powinien był wyraźniej powiedzieć, że na tym właśnie polega skierowane do nich *wezwanie Pana*? Czy nie niepokoi kontrowersyjna formuła: *nie wszyscy żyjący w separacji rozpoznają to powołanie [do wierności więzi]*? Czy bardziej realistyczne i prawdziwe, a także jednoznaczne nie byłoby stwierdzenie, że wielu żyjących w separacji boleśnie przeżywa samotność i doświadczą wielorakich trudności, przez co rodzi się pokusa wejścia w nowy związek? I że poddanie się tej pokusie jest niezgodne z wolą Bożą?

Zdaję sobie sprawę, że dla wielu osób takie stwierdzenia są wręcz odrażające. Są przekonani, że jeżeli u kogoś porzuczonego rodzi się uczucie wobec innej, nowej osoby, to przecież Panu Bogu taka miłość w żadnym stopniu nie przeszkadza. Jakże mocna jest w człowieku skłonność do czynienia sobie Boga, a raczej bożka, na własny obraz i podobieństwo. Rodzi się też pytanie, czy takim postawom nie sprzyja rozpowszechniające się pop-duszpasterstwo,

sprowadzające całe nauczanie do wykrzykiwania (ewentualnie wyklepywania kapitalikami na klawiaturze), że Bóg jest dobry. A skoro jest dobry (DOBRY), to nas wszystkich zbawi, bo przecież czymże są nasze ziemskie upadki. Nie wierzy się już nie tylko w piekło, ale nawet w czyściec. Ulepiliśmy sobie bożka, którego miłosierdzie polega w zasadzie na całkowitej obojętności na nasze grzechy. Na pewno nie jest to Bóg, którego miłość czegoś wymaga i porywa w górę ku świętości oraz doskonałości, którego miłość nie unieważnia sprawiedliwości. Tymczasem Bóg, który w pełni objawia się w Panu Jezusie, ostrzega, że będziemy musieli zdać sobie sprawę z naszych nieprawości.

A przecież trzeba by jeszcze przypomnieć, że osoba, nawet najbardziej niewinna upadku swego małżeństwa, jeżeli wchodzi w nowy związek, oprócz grzechu własnego zaciąga też odpowiedzialność za grzechy cudze. Najpierw przez to, że wciąga nowego partnera w sytuację niezgodną z Bożą wolą. Nie bez znaczenia jest i to, że taka decyzja jakby przypieczętowała wcześniejszą niewierność współmałżonka i zasadniczo utrudnia jego opamiętanie się, nawrócenie i wyjście z sytuacji trwania w grzechu. Czy wierzymy, że dochowanie takiemu małżonkowi wierności może ocalić jego duszę?

Powołam się na przykład z życia. Niedawno zmarł człowiek w kręgu dość bliskich mi osób. Po kilkunastu latach małżeństwa odkrył nową „miłość”. Zostawił żonę i dzieci. Ten nowy związek też się po jakimś czasie rozpadł, potem były jeszcze jedna czy dwie krócej lub dłużej trwające relacje. Kiedy jednak przyszła ciężka i, jak się okazało, ostateczna choroba, ów człowiek się nawrócił. Zdążył kilka razy być u spowiedzi, przyjmował Komunię świętą, sakrament namaszczenia chorych. Powie ktoś, że nie tacy twardziele miękli przed śmiercią. Znając bliżej sytuację, powiedziałbym jednak, że wierność porzuconej żony nie była bez znaczenia. Wierność i miłość przejawiająca się w tym, że uczyła dzieci miłości i szacunku do ojca, że pomagała im pokonać negatywne emocje względem niego, które czasem budziły się w poczuciu doznanej krzywdy. I te dzieci potem zakładając własne rodziny, wciągały go na powrót w życie Kościoła. Towarzyszył ich ślubom, potem chrztom, pierwszym Komuniom, bierzmowaniom swoich wnuków. Nie przystępował sam do Komunii, ale kiedy

przyszedł trudny czas, miał z nim kto porozmawiać i miał kto przyprowadzić kapłana.

Wracam do papieskiej katechezy i do końcowych dwóch zdań z cytowanego fragmentu. Jak pomóc, jak towarzyszyć rodzinom w sytuacjach nieregularnych? Kłopot w tym, że kontekst tej konkretnej papieskiej wypowiedzi, jak i całej toczącej się od blisko dwóch lat dyskusji o rodzinie, ogranicza to myślenie tylko do troski o osoby rozwiedzione w nowych związkach. Moim zdaniem o zgorznienie ociera się fakt, że nikt nie pyta wprost, jak Kościół, jak wspólnoty parafialne mogą pomóc, jak mają towarzyszyć tym, „którzy wspierani wiarą i miłością do dzieci, świadczą swoją wierność więzi, w którą uwierzyli”. A przecież takie rodziny doświadczają wcale niemałych problemów psychologicznych czy materialnych. Troszczymy się o Komunię świętą dla ludzi w tzw. nowych związkach, a zupełnie pomijamy fakt, że porzuceni bardzo często żyją w dużo trudniejszych warunkach materialnych niż porzucający. Nic to nikogo w Kościele nie obchodzi?

Jak napisałem na początku, nie kwestionuję zasadności prowadzenia duszpasterstw tzw. małżeństw niesakramentalnych. Ale ono nie może się odbywać kosztem przemilczania prawdy. Oczywiście, nie chodzi tu o to, aby spotkanie z poranionymi ludźmi przychodzącymi do takiego duszpasterstwa kapłan zaczynał od wyliczania ich win. Z drugiej jednak strony formacja w takim duszpasterstwie musi prowadzić także do stopniowego uznania własnej odpowiedzialności za wszystkie zgliszcza, które się za sobą zostawiło. I w tym dopiero miejscu z jednym fragmentem tekstu ks. Tomaszewskiego chciałbym polemizować. Otóż nie zgadzam się, że dawniejsze, „twarde” podejście do ludzi w związkach niesakramentalnych skażone było herezją Lutra poprzez uznanie, że ich natura jest nieodwołalnie zepsuta. Raczej rzekłbym, że to dzisiejsze lekceważenie moralnej wagi naszych uczynków, także dochowania bądź niedochowania małżeńskiej wierności, skażone jest luteraniskim przekonaniem o całkowitym zniewoleniu ludzkiej woli.

Może pomogłoby w tym zrozumienie, że owa „twardość” wynikała mniej z potępienia rozwodników, a raczej z chęci bronięcia praw tych porzuconych? Z troski o zbawienie i tych porzuconych, i tych porzucających? W tym życiowym przykładzie, który wcześniej podałem, był jeszcze jeden element. Matka

owego człowieka, która była już wdową w momencie, kiedy jej syn porzucił rodzinę, przez kilkanaście lat, aż do swojej śmierci, konsekwentnie odmawiała przyjmowania w swoim domu jego nowej partnerki. Natomiast ten dom zawsze stał otworem dla „sakramentalnej” synowej. Obawiam się, że dziś wielu określiłoby to jako niemal fanatyzm, a przecież moralnie, psychologicznie ta postawa dla tejże synowej (a także jej dzieci, wnuków teściowej) miała wielkie znaczenie i była mocnym wsparciem w samotnym trwaniu w wierności.

Zatem nawet jeżeli dawniejsza „twardość” nie jest już dziś wskazana, to nie może jej zastąpić praktyka, która miałaby zdyskredytować zachowujących *wierność więzi*. A fakt, że tak mało mówimy o wartości dochowywania tej wierności, że w wielu kościołach lokalnych nie tylko się dyskutuje, ale praktycznie już udziela Komunii rozwodnikom w nowych związkach, do tego prowadzi. ■